

Kilka tekstów opublikowanych w wydawnictwie Bauer w latach 1995-2015

Wszystkich było kilkaset.

Cale życie na rękach!

Michał chociaż jest już prawie 13-latką ma taki wzrost i wagę jak dwu-, trzyletnie dziecko. Mimo, że bardzo chciałby urosnąć nie jest to dla niego najważniejszy problem. Ważniejsze od tego jest to, aby skończyć dobrą szkołę i zostać biznesmenem, bo jak mówi w tym zawodzie trzeba myśleć, a przy okazji są z tego niezłe pieniądze.

- Michał urodził się jak każde normalne dziecko - wspomina jego mama, Elżbieta Nowak. - Nie był co prawda kolosem, ale mieścił się w normie wagi pourodzeniowej. Jednak przez pierwsze dwa lata życia bardzo ciężko chorował. Każde przeziębienie kończyło się zapaleniem płuc. Nie raz był w takim stanie, że myśleliśmy, że to już koniec. Ten najgorszy okres przeszedł obronną ręką, ale za to nie chciał rosnąć. Jeździliśmy do wszystkich możliwych szpitali, odwiedzaliśmy najlepszych lekarzy, ale ci rozkładali ręce i twierdzili, że przyczyna niskorosłości nie jest znana i nic nie mogą na to poradzić. Dorósł do 93 centymetrów i koniec, ani centymetra więcej. Jego waga doszła do 13 kilogramów i koniec, ani kilograma więcej.

Do chwili kiedy Michał nie chodził do szkoły, nie zdawał sobie sprawy z własnej inności. Dopiero w pierwszej klasie zaczęły się drobne problemy. Nie dlatego, że dzieci mu dokuczały, ale czuł się wyobcowany, gdy koledzy przekomarzali się między sobą kto jest większy, a on nawet nie mógł się równać do najmniejszego z nich. W końcu jednak okrzepł i teraz, gdy ktoś się go pyta czy nie jest mu przykro, że jest taki mały odpowiada z rozbijającym uśmiechem na ustach: "Małych, to stworzył pan Bóg, a osły to same urosły!"

- Zanim Michał zasiadł w szkolnej ławce postanowiliśmy, że zostanie w zerówce dwa lata - opowiada dalej pani Elżbieta Nowak. - Nie dlatego, że był opóźniony, bo radził sobie doskonale, ale dlatego żeby poczekał na młodszego o rok

brata Tomka, który pomagał mu i pomaga we wszystkim. Oczywiście wcześniej był zakup tornistra. Wiadomo, że tornistry przystosowane są do wielkości książek i budowy siedmiolatków. Michał koniecznie chciał mieć taki tornister jak wszystkie pierwszaki, a po zakupie koniecznie włożyć go na plecy. Szedł tak przez miasto, a ludzie oglądali się za nim. Zza tornistra wyglądała tylko główka i stópki.

- Ten chłopiec jest moim oczkiem w głowie - mówi z dumą dyrektor szkoły w Starochęcinach Marian Zebrzowski. - Na samym początku jak go zobaczyłem, to myślałem, że to jakieś dwuletnie dziecko, które gdzieś się w szkole zapodziało. Dopiero potem uświadomiono mi, że to jest właśnie Michał. Trochę się bałem złościwości dzieci, ale bardziej tego, żeby nie zrobiły mu krzywdy. Przez nieuwagę, przez przypadek. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Po pierwsze, dzieci są wspaniałe jeśli nauczy się je tolerancji i traktują Michała jak każdego innego. Po drugie Michał może nawet grać z nimi w piłkę, i gra, ale jak się zbliżają do niego, to nóżki jego kolegów są tak precyzyjne, że nie ma mowy o jakimkolwiek nieszczęściu. Inna sprawa, że Michał to jest taki chłopak, którego wszyscy lubią. Prawie codziennie przychodzi do mnie poplotkować. Rozmawiamy o wszystkim. O szkole i o życiu, o domu, o problemach i radościach. On tak sam z siebie. Ma taki otwarty na wszystko i wszystkich charakter.

Michała nie denerwuje to, że ktoś się za nim ogląda lub pokazuje sobie go palcem. Niektórym trzeba jednak wyjaśniać, że chłopiec jest już duży chociaż taki mały. Gdy pojechał z klasą na pielgrzymkę do Częstochowy i chciał przyjąć komunię, to ksiądz zrobił mu tylko znak krzyża na czole sądząc pewnie, że kilkuletnie dziecko naśladuje starszych, a do pierwszej komunii pozostało mu wiele lat. Nie zdeprymowała go także sytuacja, kiedy wpadł do swojej szkolnej teczki i nie mógł z niego wyjść.

- Wchodzę do klasy, a Michała nie ma. Dzieci mówią, że gdzieś zniknął. Patrzę pod ławkę i co widzę? Teczka, a z niej wystają stopy Michała - mówi nauczycielka Polskiego Stanisława Zebrzowska. - Na początku bardzo się bałam spotkania z nim. Przypominam sobie jedną z pierwszych lekcji na której go po prostu nie widziałam. Pytałam o coś wszystkie dzieci, a jego najnormalniej w świecie przeoczyłam. Jego

brat Tomek mówi, że Michał też chciał się wypowiedzieć. Zrobiło mi się trochę głupio, a Michał nagle wyskoczył spod ławki, stanął na krzeselku i powiedział co miał do powiedzenia. Przy tym wszystkim jest bardzo dobrym uczniem. Czyta jak dziecko, które kończy szkołę podstawową, a z ortografii jest doskonały.

Dyrektor Stanisław Zebrzowski uparcie wraca do zachowania innych dzieci wobec Michała. - Ileż w tych dzieciach jest dojrzałości! Jak pojechali na wycieczkę do Wieliczki i Michał nie mógł nadażyć, to brali go na plecy i nieśli. Jak jeden się zmęczył to brał drugi. Tak samo było podczas pieszej wycieczki na niedalekie wzniesienie. Michał nie dałby rady, to znowu na plecy kolegów. Ani on o to nie prosił, ani opiekujący się klasą nauczyciele.

- Podobnie było z dziewczynkami z szóstej klasy - dodaje pani Zebrzowska. - Przyszły do mnie i spytały czy mogłyby zrobić puszkę i zbierać do niej pieniądze na leki dla najmniejszego w Polsce trzynastolatka. Nie są to jakieś wielkie kwoty, ale zawsze liczy się pomysł, chęć pomocy i myślenie nie tylko sobie, ale o innych. To jest coś wspaniałego!

Tymczasem pieniądze Michałowi są bardzo potrzebne, ponieważ gdy wszystkie inne środki zawodziły, chłopiec nagle zaczął rosnać. - Nie są to jakieś szokujące efekty, ale dla niego każdy centymetr jest ważny, a w ciągu ostatnich 40 dni urósł 1,5 centymetra i przytył 800 gram mówi mama Michała. - Zawdzięczamy to lekom produkowanym z flory Morza Martwego w Izraelu. Dowiedzieliśmy się o nich przez przypadek i coś w tym musi być, bo jakiś efekt w końcu jest. Niestety, nie stać nas na tą kurację. Kosztuje to nas 1600 zł miesięcznie. Na razie dobrzy ludzie pomogli, ale co będzie dalej?

Mówią o mnie świr!

Niektórzy mówią o mnie wariat, albo po prostu świr. Są też tacy dla których jestem zwykłym staszowskim głupkiem. Odnoszę jednak wrażenie, że większość z tych wszystkich ludzi, którzy tak się wyrażają, trochę się mnie boi. Ja im się nie dziwię, bo przecież nigdy nie wiadomo co głupiemu do głowy strzeli i z czym jeszcze wyskoczy.

Ostatnio ubzdurałem sobie, że kupię komputery i urzęduję pracownię dla dzieci z biednych rodzin. Znalazłem nawet pomieszczenie w liceum. Od lat stało puste i nie zagospodarowane. Punkt świetny, blisko posterunku policji, okratowane okna. Jednak strach przed moją głupotą sparaliżował dyrekcję szkoły i radę powiatu. Nagle okazało się, że pomieszczenie jest niezbędne dla "zespołu metodycznego", który do tej pory doskonale radził sobie w innym miejscu. Ale zgadzam się całkowicie z dyrekcją liceum i popieram słuszną linię naszej władzy! A to, że dotąd nie potrafiłem załatwić tak prostej sprawy jest ewidentnym pomnikiem mojej głupoty i indolencji.

Muszę jednak wytłumaczyć wszystkim dlaczego jestem taki gamoniowaty. Otóż kiedy ukończyłem matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, nie chwaląc się z bardzo wysoką średnią ocen, postanowiłem nie pisać pracy magisterskiej. Już wtedy zetknąłem się z taką ilością idiotów, którzy przed nazwiskiem mieli mgr, że uznałem, iż spoufalanie się z nimi byłoby dużym nietaktem. Tak więc zostałem niemagistrem. Mimo, że ten samozwańczy tytuł nie bardzo uprawniał mnie do nauczania młodzieży przyjęto mnie do pracy w staszowskim liceum. Ówczesny dyrektor Adam Koziński miał do mnie świętą cierpliwość. Przez siedem lat tolerował mnie i moje zachowanie. A było co tolerować. Za bardzo dobre wyniki w nauce informatyki stawiałem do dziennika "7". Były też "żuczki niedouczeni", "koziołki matołki" itp. Oczywiście lubiłem też ciekawe tematy lekcyjne. Na przykład: "Ułamki jako takie, a jak nie takie to jakie?" Gdy robiłem klasówkę temat brzmiał: "Rzeź niewiniątek", gdy uczniowie poprawiali się na wyższy stopień wpisywałem: "Dożynki". Kiedyś przyjechała wizytacja z województwa. Gdy zobaczyli co się dzieje, to za głowy się złapali. Na ławce każdego ucznia leżała rozkrojona cebula, a ręce mieli zabandażowane. Chodziło o to, aby wycisnąć łzy z szanownej "Wizytacji". Tymczasem cały czas robiłem swoje. W płetwach spacerowałem, kazałem się nosić na krześle, jak na tronie itd. Pan dyrektor w końcu nie wytrzymał i mnie zwolnił z pracy. Nooooo, tego to już było za dużo! W związku z tym w Staszowie na Rynku rozpocząłem głodówkę (z godziną przerwą na obiad). Razem z pluszowym Alfem protestowaliśmy z ramienia Związku Niemagisterstwa Polskiego przeciwko głupocie całego świata. Zacząłem wydawać własne pismo zatytułowane "Głodne Kawałki" w

którym wyszydzałem różne ludzkie przywary. Do dziś wielu się do mnie nie odzywa, ale ja im się nie dziwię. Łatwiej się obrazić niż popracować nad sobą!

Od tego czasu minęło już ponad 4 lata, a ja wciąż głoduje i głodować będę, aż do skutku. Muszę przyznać, że mój permanentny protest zaczyna przynosić skutki. Jeszcze w ubiegłym roku zauważyłem, że młodzieżowy klub "Iskierka" do godziny 16 stoi pusty i zamknięty na kłódkę. Poszedłem do Antoniego Drozda dyrektora Staszowskiego Ośrodka Kultury i nieśmiało zapytałem: Panie dyrektorze kupię parę komputerów wstawię tam i będę uczył dzieci, za darmo oczywiście? Dyrektor na to: Dobrze. Prawdę mówiąc zdębiałem. Zastanowiłem się jednak przez chwilę i mówię: Panie dyrektorze komputery może kupię trochę później, a teraz będę dzieciakom w lekcjach pomagał. Dyrektor na to: Dobrze. Jeszcze z czymś takim się nie spotkałem. Żadnych problemów obiektywnych, żadnych trudności subiektywnych. Jakiś dziwny człowiek ten dyrektor.

Przez te wszystkie lata nie zapominałem też o szkole której byłem uczniem, nauczycielem i z której mnie wyrzucono. Zamiast remontować dom, zamiast zrobić coś dla siebie, to bez przerwy robię szopki. Zafundowałem mojemu liceum komputery. Prosiłem tylko, żeby mieć dostęp do nich. Raz było dobrze, potem też dobrze, aż w końcu klucze zginęły, czy coś innego i nie chcieli mnie wpuścić. Poszedłem do sklepu kupiłem jeszcze jeden komputer, rozłożyłem na korytarzu i zacząłem pracować. Gdy dyrekcja zainteresowała się mną, to im powiedziałem. Że chciałem szkole komputer przekazać, ale przecież klucze zginęły. Na szczęście się znalazły! W sumie dałem już jakieś 100.000 zł mojej szkole i dalej będę dawał, nawet gdy nie będą chcieli.

Oczywiście wszyscy pytają się skąd ja na to mam. Daję trochę korepetycji z matematyki. Nawet studenci z Krakowa i Kielc do mnie przyjeżdżają. Co prawda mam dokument na którym wyraźnie jest napisane, że nie posiadam żadnych kwalifikacji do nauczania, ale jakoś chętnych jest więcej niż ja mam czasu. To, że nie powinienem uczyć wypomniał mi kiedyś pewien pan z władz Staszowa, który bardzo mnie nie lubi. Jak się go spytałem dlaczego przysyła swoje dziecko do mnie na "korki", to się tylko zrobił czerwony jak burak i nic nie odpowiedział.

NIE ZABIERAJCIE NAS OD TATUSIA!

Mamusia wyjechała do Włoch i nie wiadomo kiedy wróci. Tatuś jest sparaliżowany i musimy się nim opiekować, a sąd powiedział, że trzeba nas oddać do domu dziecka. Nie chcemy zostawiać taty, bo on potrzebuje nas, a my potrzebujemy jego. Prosimy nie zabierajcie nas od tatusia, bo bardzo go kochamy.

Mamy na imię Adrian i Krystian. Jesteśmy 12-letnimi bliźniakami. Mamy jeszcze dwóch braci: 11-letniego Sebastiana i 8-letniego Dawida. Mieszkamy we wsi Tuszymia niedaleko Mielca. Kiedyś gdy byliśmy jeszcze mali, tatuś nie miał pracy, a mamusia wyjechała do Włoch, żeby zarobić pieniądze. Była tam trzy miesiące i wróciła. Za jakiś czas znowu wyjechała, ale znowu wróciła. Tatuś jest murarzem, to zaczął budować dom, bo ten co mamy to jest drewniany, bardzo stary i już się rozwała. W lipcu 1999 roku, tata skończył pracę na budowie i poszedł nad jeziorko wykopać się. Skoczył na główkę i wypłynął plecami do góry. Potem nam opowiadał, że nie stracił przytomności i trzy razy poprosił Pana Boga, żeby go ktoś wyciągnął. Wtedy poczuł, jak dźwigają go czyjeś ręce. To był brat taty. Uratował mu życie, ale niestety od tego czasu tatuś może ruszać tylko ramionami i głową. Leżał w szpitalu w Mielcu, potem w Konstancinie. Tam pan doktor powiedział, że jak tata wyleczy odleżyny, to wtedy zoperują mu kręgosłup i może nawet będzie chodził. Odleżyny leczyli przez pół roku, a potem powiedzieli, że operacji nie zrobią i tatuś już nigdy nie wstanie. Jakby wszystkie miesiące które tata leżał w szpitalu dodać do siebie to byłby prawie cały rok.

W tym czasie opiekowała się nami mama. Ale w domu nie było pieniędzy i musiała pojechać do Włoch, żeby tam zarobić. Wyjechała w grudniu 1999 roku i wróciła w lutym zeszłego roku. Potem znów wyjechała 17 marca 2000 roku i do dziś nie wróciła. W tym czasie byliśmy u babci i dziadka. Ostatnio jak rozmawialiśmy z mamą przez telefon to powiedziała, że nie wie kiedy do nas przyjedzie. My nie wierzymy, że w ogóle przyjedzie. Myślimy że zostanie we Włoszech. Gdy tatuś w grudniu wrócił do domu, to my też wróciliśmy od babci i dziadka. Jemu bez nas byłoby bardzo smutno. Nie miałby kto go podrapać, albo podać coś do picia, albo

pomasaować, żeby nie robiły się odleżyny. Wszystko to my robimy. A tatuś zrezygnował nawet z rehabilitacji, żeby tylko było więcej pieniędzy i żebyśmy mieli co jeść. Mamy tylko 590 złotych na cały miesiąc.

Bardzo nam pomaga siostra mamusi, ciocia Małgosia, która chociaż ma swojego syna Kazia, nam też gotuje obiady, pierze ubrania i wszystko robi. Ciocia chciała od sądu dostać prawo do opieki nad nami. Złożyła dokumenty, a my wtedy zachowaliśmy się nieładnie. Dokuczaliśmy Kaziowi, a cioci Małgosi pokazaliśmy "fakju". Wtedy ciocia się zdenerwowała i powiedziała, że nie będzie się nami opiekowała i zadzwoniła, żeby nie robić sprawy w sądzie. Ale my przeprosiliśmy ciocię i obiecaliśmy, że już nic takiego nie będziemy robić, że będziemy grzeczni i nie będziemy dokuczać Kaziowi.

Ciocia Małgosia uwierzyła nam i znowu zdecydowała się, żeby sąd przyznał jej prawo do opieki nad nami. Myśleliśmy, że będzie już dobrze. Jako rodzina zastępcza mieliśmy dostawać po 550 zł. Jednak zamiast tego, sąd zdecydował, że ciocia nie może się nami opiekować, ponieważ jest bezrobotna, a tatuś też nie może ponieważ jest sparaliżowany. Ustalono, że mamy iść do domu dziecka. Tylko najmłodszy, Dawid miał zostać z tatusem.

Opowiedzieliśmy to wszystko w szkole. W klasie niektóre dzieci się popłakały nad naszym losem, a jedna dziewczynka powiedziała, żeby jej mówić siostro. Nawet pani dyrektor i pan dyrektor mieli takie świecące oczy. Wszyscy chcieli nam pomóc, ale oprócz tego, że dadzą nam jakieś ubrania, możemy się w szkole wykąpać, to co innego mogą zrobić?

Pewnego wieczoru ktoś zadzwonił do cioci i powiedział, że jutro przyjadą zabrać nas do domu dziecka i tylko żeby nikt nie stał z siekierą na progu. Tatuś nie pozwolił nam iść do szkoły. Wszyscy czekaliśmy co będzie dalej. Przyjechali dwoma samochodami. Wszyscy schowaliśmy się za tapczanem na którym nasz tatuś leży. Nie chcieliśmy iść, chociaż ta pani próbowała nas przekupić. Mówiła, że tam jest dużo cukierków, komputery, a jak pójdziemy z nią to da nam czekoladę. Namawiała nas długo, mówiła żebyśmy pojechali na próbę, a jak nam się nie spodoba to wrócimy. Nie jesteśmy tacy głupi. Wiedzieliśmy, że jak pojedziemy, to koniec.

Będziemy musieli zostać. W końcu przekonała się, że nigdzie z nią się nie wybierzemy, to wyszła i chciała zawołać pana policjanta co z nią przyjechał. Pan policjant jednak nie wszedł do naszego domu, tylko ta pani wróciła sama i powiedziała, że teraz jeszcze nas nie zabierze, ale wcześniej czy później i tak będziemy musieli iść do domu dziecka.

My bardzo prosimy tą panią, żeby nie zabierała nas od tatusia. Bardzo prosimy sąd żeby przyznał prawo opieki nad nami dla cioci Małgosi. Wtedy będziemy mogli być wszyscy razem Adrian, Krystian, Sebastian, Dawid i nasz tata. Może i mama kiedyś wróci...

Księżna

Mieszkańcy Żywca nie mają wątpliwości, że dobra arcyksiążęcego rodu Habsburgów powinny być im zwrócone. Żyją jeszcze tacy, którzy pamiętają ile dobrego dla tego miasta i tu mieszkających ludzi uczyniła ta rodzina. Gdy kilka dni temu, arcyksiężna Maria Krystyna Habsburg wyraziła chęć powrotu na Żywiecczyznę przyjmowano ją tu jak królową i obiecano przygotować apartament w pałacu, gdzie przed 78 laty przyszła na świat. Zanim jednak do tego doszło w urzędzie miasta odbyła się debata jak zwracać się arystokratki. Po kilku propozycjach stanęło na tym, że w rozmowie oficjalnej powinno być "pani arcyksiężno", a kontakcie bezpośrednim "księżno".

Tymczasem Maria Krystyna, to bardzo skromna i kontaktowa osoba. Będąc w Polsce nie mieszka w luksusowych hotelach. Korzysta z gościnności pani Marii Jury mieszkającej w starym komunalnym dwupokojowym mieszkaniu na obrzeżach Bielska-Białej. Gdy wspomina się przy niej o przygotowywanym apartamencie mówi: - Tylko nie apartament. Chciałabym aby było to skromne mieszkanie. Pragnę jeszcze coś zrobić dla tej społeczności, pomóc. Zawsze miałam nadzieję, że tu wrócę i umrę w Polsce. Jest w Żywcu taki piękny cmentarz. Szkoda, że widok trochę kiepski, bo i komin, i jakaś antena - śmieje Maria Krystyna Habsburg, której ród wywodzi się bezpośrednio od cesarzy austro-węgierskich. Maria Antonina, która podpisując traktat o rozbiorach Polski płakała nad jej losem, arcyksiążę Ferdynand

którego śmierć była bezpośrednią przyczyną wybuchu I wojny światowej oraz cesarz Franciszek Józef to bardzo bliscy krewni Marii Krystyny Habsburg. - Mój pradziadek kupił Żywiecczyznę od Wielopolskich, dziadek przyjął polskie obywatelstwo, ojciec był już Polakiem z krwi i kości, oficerem który nie podpisał volkslisty, a mama choć z pochodzenia Szwedka, walczyła w AK i otrzymała Krzyż Walecznych. Ja miałam tylko pretensje do dziadka, o to, że jak przyjmował obywatelstwo to nie zmienił nazwiska - mówi pół żartem, pół serio.

- Chcemy aby ten apartament był symbolicznym zadośćuczynieniem dla rodziny Habsburgów. Przecież byli oni największym dobrodziejstwem tej ziemi! - mówi Janusz Kudłacik burmistrz Żywca. - Księżna nie miała żadnych wymagań, chciała wręcz aby to mieszkanie było o połowę mniejsze. Jedynie o miejsce na swój księgozbiór poprosiła. To bardzo dystygowana, a jednocześnie bardzo skromna osoba. Potrafi się jednak też zdenerwować. Gdy ze zdziwieniem stwierdziłem: "Jak pani pięknie mówi po polsku!" - odpowiedziała ze złością; "przecież ja jestem Polka!"

- Po wojnie, wróciliśmy do kraju, ale mieliśmy zakaz wjazdu do Żywca wspomina pani Habsburg. - Wszystko zabrała nam reforma rolna. Zamek, pałac, browar i ogromne połacie ziemi. Byliśmy bardzo niewygodni dla stalinowskiej władzy i gdy w 1951 wyjechaliśmy do Szwecji nikt nam nie czynił przeszkód. Pozbyto się nas cicho i bez hałasu. Do dziś pamiętam ten strach, gdy wybudzona ze snu byłam legitymowana przez UB. Nachodzili nas bardzo często i w dzień i w nocy. Szwedzi chcieli nam dać paszporty, ale ja i moja siostra nie przyjęłyśmy obcego obywatelstwa. Na wygnaniu zmarł tata, a ja zachorowałam na gruźlicę. Po kilku miesiącach wyzdrowiałam i wysłano mnie do Davos w Szwajcarii, gdzie utknęłam i mieszkam tam do dziś. Właśnie tam na początku lat dziewięćdziesiątych odzyskałam polski paszport. To był dla mnie wielki dzień! Gdy po tylu latach wysiadłam z samolotu na krakowskich Balicach, to gdyby nie mój kręgosłup ucałowałabym ten beton.

Po przyjeździe do Żywca arcyksiężna zapragnęła odwiedzić swój rodzinny dom. Nie przeszkadzał jej siąpiący deszcz i twierdząc, że nie jest przecież z soli i nie

rozpuści się, wysiadła na rodzinną ziemię. Szczególne wzruszenie ogarnęło ją w parku. - Był taki piękny, a teraz jest zaniedbany - powiedziała. - Gdy wrócę zajmę się nim - obiecała. W pałacu okazało się, że oprócz dwóch pieców i marmurowej czarno-białej posadzki nic się nie zachowało. - Posadzkę pamiętam bardzo dobrze, ponieważ skakałam tylko po białych płytach. Byłam przekonana, że pod czarnymi mieszkają czarownice. Doskonale pamiętam też zakazane zabawy np. zjeżdżanie po poręczach, albo trzaskanie drzwiami. Takie piękne echo wtedy było!

W Żywcu mówią, że ruchomości Habsburgów do dziś stoją w niektórych domach wyszabrowane zaraz po wojnie. - Niech stoją mówi Maria Krystyna. Nie mam o to żadnych pretensji i nie będę chciała ich odzyskać.

Co innego jednak Browar Żywiec, którego założycielem w 1856 roku był arcyksiążę Habsburg. Piwo tu produkowane było tak dobrej jakości, że już po sześciu latach zwróciły się poniesione nakłady. Według czwórki jego potomków mieszkających w Szwecji, Szwajcarii i Krakowie został zabrany rodzinie bezprawnie i od trzech lat toczą się rozprawy w sądach o zwrot ziemi i budynków przynależnych do browaru. Co za tym idzie sprzedaż browaru zagranicznemu inwestorowi i jego prywatyzacja również była bezprawna. Habsburgowie żądają także, aby z etykiet zniknęła korona rodu, ponieważ sugeruje ona, że browar należy do Habsburgów. - Każde pogorszenie jakości piwa może rykoszetem uderzyć w nas - twierdzą.

Przedstawiciel browaru pan Krzysztof Rut twierdzi, że korona na etykietach nie jest taka sama jak korona Habsburgów i poprosił o stwierdzenie tego faktu znajdującego się na rzeczy heraldyka. - Data jest historyczna i nie podlega ochronie - mówi. - Natomiast kupując akcje "Żywca", inwestor robił to w dobrej wierze, a w prospekcie emisyjnym było zaznaczone, że wszelkie roszczenia pokryje państwo Polskie.

Tymczasem roszczenia te sięgają 700 mln nowych złotych, a końca procesów nie widać. Za to Żywiec przestał być kojarzony wyłącznie z piwem. Przyjeżdża tu coraz więcej ludzi, którzy do tej pory nie wiedzieli, że jest to arcyksiążęce miasto. Zauważyła to pani Anna Tuleja dyrektor Muzeum Ziemi Żywieckiej, która z wielkim entuzjazmem podchodzi do powrotu Marii Krystyny Habsburg na rodzinną ziemię. -

To jest człowiek niezmiernie etyczny i z ogromną kulturą. Wokół niej na pewno skupi się grono ludzi chcących pomagać w jej planach. Zresztą Habsburgowie od dawna znani byli ze swego charytatywnego zacięcia. Ojciec Marii Krystyny, chciał wybudować po wojnie szpital dla biednych. Nie bez znaczenia jest też turystyczny aspekt tego powrotu. Już teraz widzimy, że do muzeum przychodzi więcej ludzi - mówi pani dyrektor.